



Lisa Lueddecke
Gdzie *niebo* mieni się *czzerwienią*



Lisa Lueddecke

Lisa od dziecka bardzo dużo podróżowała, ponieważ jej rodzice pracowali w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Większość życia spędziła, przeprowadzając się w obrębie czterech krajów i pięciu stanów USA.

Ma cztery siostry.

Karierę zaczynała jako stażystka w wydawnictwie, a później zaczęła pisać własne książki.

Obserwuj Lisę na Twitterze:
[@LisaLueddecke](https://twitter.com/LisaLueddecke)

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2018

www.zielonasowa.pl

Gdzie *niebo* mieni się *czzerwienią*

Lisa Lueddecke
Gdzie *niebo* mieni się *czerwienią*

Przełożył
Patrik Gołębiowski



Dla Taty

Tytuł oryginału: *A Shiver of Snow and Sky*
Redaktor prowadzący: Natalia Galuchowska
Redakcja: Anna Włodarkiewicz
Korekta: Dorota Jabłońska, Urszula Malewicka
Skład i DTP: Bernard Ptaszyński

First published in the UK by Scholastic Ltd, 2017

Text copyright © Lisa Lueddecke, 2017
© Copyright for the Polish translation by Patryk Gołębiowski, 2018
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2018

All rights reserved

Wydanie I

ISBN 978-83-8073-671-9

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

Choć ma dusza zajdzie w mroku,
wzjedzie z idealnym blaskiem;
bo za bardzo kocham gwiazdy,
żeby bać się w noc przed brzaskiem.

SARAH WILLIAMS



SKANZE



R o z d z i a ł 1

Skane zbudowano na przesądach. Zawsze przekraczaj próg domu prawą nogą. Kiedy kichasz, ktoś, kto źle ci życzy, właśnie wypowiedział twoje imię. Nie gwizdź, spoglądając na słońce, bo spadnie deszcz.

Przed wszystkim jednak przesady dotyczyły się światel. Jaskrawych, kolorowych światel, które tańczyły dla nas na czystym nocnym niebie.

Zieleń była typowa. Znaczyła, że Bogini jest szczęśliwa i wszystko jest tak, jak być powinno.

Niebieski oznaczał śnieg, mnóstwo śniegu. Najlepiej spędzić owce i przynieść drewno na opał, zanim zaczną latać pierwsze tumany.

I była jeszcze czerwień. Czerwień była inna, rzadsza.

Czerwień była ostrzeżeniem.

Światła tańczyły. Większość nazywała je lós, słowem przekazany nam przez starych tłumaczy runów, którzy przełożyli je z symboli i obrazków wyrzniętych na ścianach jaskiń. Lós falowały, zmieniały się i marszczyły, jakby niebo było jeziorem, do którego ktoś wrzucił kamyk.

- Co to jest? - pytałam ojca codziennie, kiedy byłam mała.

Każdego wieczoru odpowiadał co innego. „To resztki zachodu słońca tańczącego dla księżycy”, „to światła gwiazd odbijających się od morza”, „one po prostu... są”. W końcu zrozumiałam, że nie wie. Nikt nie wiedział. Bogini mogła zmieniać ich barwę - to był jedyny pewnik. Czym były, dlaczego się pojawiały, to wciąż stanowiło dla nas tajemnicę. I być może zawsze tak będzie.

Między tymi spośród nas, którzy im się przyglądali, powietrze zamierało, naładowane, jakbyśmy byli na szczycie góry i akurat przestało wiać.

Dołączałam do innych mieszkańców wioski, siedzących na dużych skałach, za którymi w dole było morze. W te noce, gdy blask był tak intensywny, że malował śnieg jaskrawą zielenią i błękitem, zbieraliśmy się w grupkach, żeby przyglądać się światłom. Kiedy niebo wymagało naszej uwagi, byliśmy posłuszni.

- Zmieniają się - powiedział siedzący obok mnie Ivar, ale jego słowa były ginącym echem, odległym i głuchym.

Nie mogłam oderwać wzroku od nieba, śledziłam subtelne zmiany tu i tam. Jaskrawy błękit przechodził w głęboki róż i purpurę, niczym podczas zachodu słońca.

Przeszły mnie ciarki, włoski mi się zjeżyły, ale nie z zimna. Kolor był niepokojąco podobny do innego, zbliżał się do barwy, której nikt w Skane nie chciał znów zobaczyć.

To się stało siedemnaście lat temu. Niebo zabarwiło się szkarłatem zaledwie parę dni przed pojawieniem się gorączki, która zdziesiątkowała nasze wsie. Kiedy choroba się rozprzestrzeniła, w ciągu paru dni umarło dwustu mieszkańców. Ja się urodziłam i przeżyłam. Moja matka urodziła mnie i umarła. Podobno byłam szczęściarą. Czwartą część wszystkich zgonów stanowiły dzieci.

Szczęściara. Nigdy jej nie poznałam. Szczęściara. Musiałam być przekazywana innym matkom, które niedawno urodziły – matkom, których dzieci je znały, wiedziały, jak wyglądają. Jak brzmią. Mogły pielęgnować wspomnienia. Mną zajmowali się obcy, którym zawdzięczałam powrót do zdrowia.

Szczęściara.

Siedemnaście lat to długo, ale nikt nie zapomniał. Zawsze kiedy barwa światła na niebie odbiegała od zieleni, nawet na parę sekund, miejscowi wstrzymywali oddech.

- Ivarze - wyszeptalam, ale jego imię dziwnie mi się ułożyło na języku. Wydało mi się pozbawione sensu, obce i poczułam ściskanie w gardle. Ivar zazwyczaj był dla mnie ostoją, moim przewodnikiem i pocieszeniem, kiedy życie mnie przytłaczało, ale dziś tego nie czułam. Mogłam być równie dobrze sama na łodzi na środku morza.

Zrobił długi wdech, dłonią w rękawicy z jednym palcem musnął moją dłoń.

Kosmyki światel na skraju się zmieniały. Przeobrażały. Poglębiały. Jeden szczególny zawijas wysoko nad naszymi głowami, falujący jak kawałek płótna na wietrze, był prawie cały szkarłatny. Wyglądał, jakby krwawił, zarażając pobliskie gałęzie swoją czerwoną jak posoka chorobą. Przeszył mnie chłód, jakby barwę skradziono z moich żył. Mgła płynąca z roztrzaskujących się fal szczypała mnie w oczy, ale nie mogłam ich zamknąć. Rozpaczliwie szukałam wzrokiem światel, które się nie zmieniły, które były ciągle nieskażone, jakbym mogła powstrzymać rozwój szkarlatu.

Kilka minut później już całe niebo było plamą czerwieni. Napierało na nas jak zapowiedź, rozpaczliwe, nie-me ostrzeżenie, którego nie mieliśmy jak przetłumaczyć. „Nadciąga – krzychało. – Nadciąga zaraza”. Zaraza zawsze była mordercza, gnębiła nas co kilka dziesięcioleci, od kiedy zasiedliliśmy Skane. Ale dlaczego nadchodziła, było taką samą niewiadomą jak liczba płatków śniegu, które złożą się na najbliższą zamięć, albo liczba kropel deszczu w morzu.

Chwycałam się lodowatej skały palcami od dawna odrętwiałymi z zimna pomimo rękawicy. Nagle uświadomiłam sobie skalę łós i moją kruchość na ich tle. Jakie ma znaczenie jedna, maleńka, nieistotna postać na świecie, kiedy dzieje się coś tak mrocznego? Ilu z nieszczęśników wokół

mnie umrze w ciągu najbliższych dni? Tygodni? Poczułam mdłości, przestałam odróżniać niebo od ziemi. Skuliłam się, w głowie wirowało mi, jakbym spadała przez mroczne przestrzenie między gwiazdami. Zamknęłam oczy i zmusiłam się, żeby zaczerpnąć do płuc chłodne, rześkie powietrze.

Wdech. Wydech.

Powoli odzyskałam równowagę, chwyciłam się skały i spojrzałam na gwiazdy, którym udało się przebić przez przekłętą czerwoną lunę. Spodziewałam się, że moje serce i umysł zmrozi lęk, paraliżując mnie po tych wszystkich historiach, które słyszałam o krwawoczerwonym niebie, ale to nie strach mnie opanował. To gniew ożywił się jak wiosenna rzeka, wypełniając moje zmrożone żyły. Gniew, bo nie wiedziałam, dlaczego to się dzieje. Gniew, bo miałam świadomość, że niebo nie zapowiadało utonięcia garstki rybaków na morzu ani zaginięcia w lesie dziecka, które ktoś odnajdzie wiele dni później pod śniegiem. Gniew, bo kiedy światła lśniły czerwienią, to oznaczało, że groźba zawisła nad wszystkimi moimi znajomymi i bliskimi, a ja miałam większą szansę rozmrozić jezioro Hornstrásk w środku zimy, niż temu zapobiec.

Gniew, bo kiedy świeciły czerwone łós, to oznaczało, że gdzieś na Skane znów wzbiera zaraza, żądna ciał.

Gdzieś nieopodal, ale na tyle daleko, że wiatr zdołał zniekształcić dźwięk, ktoś zaczął śpiewać słowa. Słyszałam je już wcześniej wiele razy. Znałam na pamięć każdą linijkę

i każdy ton, perfekcyjnie. Nie odrywając wzroku od nieba,
pozwoliłam, żeby mój głos dołączył do pozostałych.

*Zielenią rozbłyły światła nad głowami,
Królowa łaskawa cieszy się wraz z nami.
Błękitnoniebieska poświata faluje,
W pobliżu potężna burza się szykuje.
Czerwienią zaczyna się mienić niebo,
Nadciąga niepokój, idzie mnóstwo złego.*

R o z d z i a ł 2

Strach wisiał w powietrzu jak odłamki zamarznętej mgły. Nie cichy, tłumiony lęk sprawiający, że niektórzy robią wielkie oczy i ogarnia ich drżenie, ale taki, który sprawił, że na bladych twarzach pojawiły się łzy, a z ust tych, którzy sobie z nim nie radzili, uwolnił się krzyk. Rodziny stały razem, mocno przytulone, korzystając z bezcennych chwil spokoju i ciszy przed powrotem morderczej zarazy. Dzieci, na tyle duże, żeby znać opowieści o śmiertelnym żniwie, a zarazem na tyle małe, że same tego nie przeżyły, szłochały w złożone dłonie. Mężczyźni starali się zachowywać kamienne twarze i spokój, ale w ich oczach lśniły ukradkiem łzy, które spadały, kiedy nikt nie patrzył.

Pomimo płaczu, obejmowania się i szeptów, które rozchodziły się wśród ludzi jak szelest liści, wszyscy udaliśmy

się na środek wioski. Byliśmy posłuszni instynktowi. Zalsniła czerwień. Czas na ogień. Dawno temu we wsi wznie- siono duży kamienny krąg, który był naszym punktem zbornym, miejscem, gdzie gromadziliśmy się, żeby święto- wać dzień letniego przesilenia, nadejście nowego roku czy omówić pojawienie się na niebie czerwonych łós. To miał być pierwszy raz, kiedy brałam w tym udział idąc, czułam wagę wydarzenia.

Przy innych okazjach te spotkania były radosnym wy- darzeniem, ekscytowały dzieci, gdyż zapowiadały jedzenie, gry i historie snute przez każdego, kto miał coś do opowie- dzenia. W najcieplejszy dzień roku siadaliśmy w najlżej- szych strojach i popijaliśmy chłodne napoje, a myśli o zimie odpływały w nicość. Jednakże tym razem nie było śladu ekscytacji. Tym razem ignorowałam ściskanie w żołądku, przyglądając się bladym twarzom mieszkańców wioski, któ- rzy zebrali się, żeby omówić to, co tak trudno było opisać słowami.

Wewnątrz kręgu ustawiono stertę kłód, podlaną tu i ów- dzie olejem, z wciśniętymi kawałkami mniejszych gałęzi i konarów na podpałkę. Kiedy zbliżyłam się, tocząc przed sobą okrągły pień do siedzenia, jakaś ponura kobieta skrzesała przy stercie iskry, rozniecając płomienie.

Wpatrywałam się w rosnący ogień, a przed moimi ocz- ami płasły czerwone światła. Przyglądałam się, jak parę ga- łązek zajmuje się ogniem i spala, i pożałowałam, że my nie

możemy się w niego wcielić. W ogień, nie w opał. W ogień, który mógłby spopielić nasze wåtpliwořci, nasze zmartwienia. Pochłonać to, co nas czekało, z mocą, której nie da się stłumić. Gdyby udało się rozniecić taką siłę woli i gdybyśmy wszyscy mogli dodać opału do tego ognia, być może poradzilibyśmy sobie lepiej niż poprzednim razem. Być może udałooby się nam uratować więcej istnień.

Obok mnie o ziemię zadudnił głucho pieniek. Ivar.

- Jesteř sama? - zapytał, siadając i wyciągając dłoń w stronę ciepła. Nie nosił rękawic, a na dłoniach miał odciski od pisania i bąble od przrzucania śniegu. Ivar pochodził z rodziny tłumaczy runów, wyszkolonych w sztuce przekładu prastarych symboli i naszkicowanych nimi obrazów na agryjski, język, którym posługiwaliśmy się dzisiaj. Jako dziecko zazdrościłam mu tego, że umiał wydrapywać litery szybciej, niż ja byłam w stanie je odczytać. We wszystkim byłam od niego wolniejsza, zwłaszcza w czytaniu i pisaniu. Ale to była esencja jego życia, jego sens. Mogłabym łowić ryby i strzyc owce, gdybym miała ochotę się tym zająć, ale ja wolałam czegoś dokonać, dowiedzieć się czegoś, czego nie wiedzieli inni, i to skłoniło mnie do zajęcia się gwiazdami.

- Kto przychodzi pierwszy, ten ma lepsze miejsce - odparłam, obserwując spalającą się gałązkę.

Zbierało się coraz więcej miejscowych. Niektórzy zabierali z domów drewniane krzesła, inni przychodzili ze skrzynkami, jeszcze inni z pniakami takimi jak nasze. Najstarszego

mieszkańca wioski, Ymira, doprowadzili do ognia żona i wnuk. Posadzili go na dużym drewnianym krześle i otulili mu plecy i nogi kocami. Chodziły słuchy, jakoby Ymir miał prawie sto lat, ale gdy patrzyłam na jego rysy i poważne spojrzenie, niekiedy wydawało mi się, jakby był świadkiem narodzin wyłaniającego się z fal Skane. Wiele lat temu uczył mnie o gwiazdach, zobaczywszy mnie, kiedy wypatrywałam ich z dachu. Odrysowywałam ich kształty na śniegu, dowiadywałam się, gdzie i w jakiej porze roku się ukazywały. Opowiadał mi historie konstelacji, kryjących się w nich map i zdradzał, jak z nich korzystać, żeby odnaleźć drogę, gdy się zabłądzi.

Móri, młodszy kuzyn Ivara, usiadł u moich stóp z gałązkami w dłoniach. Struganie było ulubionym zajęciem Ivara, kiedy nie czytał runów, i zachęcił do niego niektóre dzieci. Pociągnęłam za kosmyk blond włosów Móriego, który przepędził mnie jak muchę, nie podnosząc nawet wzroku.

Po drugiej stronie ogniska siedział mój ojciec z moją siostrą Annką. Miała trupioblada twarz, a na policzkach lśniące plamy tam, gdzie żar płomieni osuszył łzy. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na chwilę, potem uciekła wzrokiem. Przez języki płomieni przyglądałam się isierkom pływającym w oczach ojca. W porównaniu z Ymirem mógł wydawać się dzieckiem, ale kiedy był sam, na jego twarzy rysowały się linie wyrzeźbione latami troski i zmagañ ze wzburzonym morzem. Annka twierdziła, że zdaniem

niektórych był przystojny. Może kiedyś był. Dla mnie był tylko ojcem. Symbolem siły, szacunku, niekiedy strachu.

Kiedyś, w dzieciństwie, usłyszałam, jak Anneka pyta go, czy nie mógłby być trochę miłszy. Dlaczego tak utrzymuje uparcie surową fasadę, która doprowadza nas do łez? Jego odpowiedź była nieustępliwa, ale pomimo młodego wieku ją zrozumiałam.

- Nasi przodkowie nie przybyli tu, nie przepłynęli nieznanego morza, żeby rozpocząć życie, które miało być łatwe. Wiedzieli, że będzie ciężko, i jest ciężko. Słabi przegrywają, Anneko. Wątpi się poddają. Nie pozwolę wam na słabość. Nie dopuszczę, żebyście przegrały. Nie mam tego we krwi i wy też nie macie.

Od tamtej pory patrzyłyśmy na niego inaczej i choć nadal zdarzało mu się mnie przestraszyć, choć nadal bywały takie chwile, kiedy mój gniew wobec niego płonął z siłą, która groziła sprowokowaniem jakiegoś niewybaczalnego czynu, ojciec stał się dla nas inną osobą.

- Dziś wieczorem - zaczął Ymir - widzieliśmy czerwone łós.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego, a w powietrzu, pomimo ognia, rozszedł się chłód. Wiek i aura Ymira wzbudzały szacunek wszystkich obecnych. Kiedy mówił, ludzie słuchali.

- Wielu z was, młodszych - popatrzył na mnie i Ivara, siedzących obok niego - nie pamięta ostatniego razu,

kiedy świeciły na niebie. Wtedy zaczęło się tak samo, zwyczajnie i... niegroźnie, ale potem się przeobraziły. Byłem młodszy, być może niewiele młodszy – uśmiechnął się słabo – ale na tyle młody, że światła mnie rozgniewały.

Popatrzyłam na ziemię, wspominając ogień, który krążył mi w żyłach, kiedy na niebie rozkwitł czerwony blask.

– Kiedy postawiliśmy tu pierwszy krok, wszyscy, co do jednego, musieliśmy się pogodzić z faktem, że ich nie pojmujemy. Bogini chce nas ostrzec, wzbudzić naszą czujność, ale niczego nie wyjaśnia. Nie chce ingerować. Ingerować w sprawy zwykłych śmiertelników, znaczy przekroczyć granicę wyznaczoną u zarania dziejów.

Wśród zebranych rozeszły się szepty, ogień trzaskał. W oczach nachylających się ludzi połyskiwały ciekawość i odbłaski płomieni. Móri dalej strugał, jakby nie słuchał, ale widziałam, że strzyże uszami, a jego dłonie co chwilę przerywają pracę, żeby mógł lepiej słyszeć.

– Siedemnaście lat temu po raz pierwszy ujrzałem czerwone światła – ciągnął cicho Ymir. – Nadal wydaje mi się, jakby to było wczoraj. Przedtem słyszałem tylko opowieści ojca. Kiedy był małym chłopcem, raz załśniły. Dopiero po dziesięciu dniach dowiedzieli się dlaczego. Ktoś ze wsi, podążwszy śladami krwi między drzewami, dotarł do miejsca, gdzie na śniegu leżało ciało rozpalone gorączką i krwawiące z oczu i nosa. Zaraza rozniosła się jak ogień, rozprzestrzeniając się po całej wsi i po kolei zabijając mieszkańców.

Kiedy było po wszystkim, została tylko połowa. Najstarszy miał zaledwie czterdzieści lat, najmłodszy dziesięć.

„Najmłodszy dziesięć”. Może jednak miałam szczęście. Udało mi się przeżyć w dzieciństwie, kiedy tyłu innych przede mną umarło.

W chłodnym nocnym powietrzu nie unosił się żaden dźwięk. Ludzie mieli otwarte z wrażenia usta, ale wszyscy zapomnieliśmy, jak się oddycha. Poczułam niewytłumaczalną potrzebę. Chciałam sięgnąć i wziąć Ivara za rękę, uściśnąć ją tak mocno, aż moja dłoń zacznie dygotać. Nie ze strachu, ale potrzeby upewnienia się, że nie jestem sama.

- I znów, siedemnaście lat temu - ciągnął Ymir ciszej.
- To znów się stało, i znów pochłonęło wiele żywotów. Znów mężowie tracili żony, a dzieci - matki zabrane za bezlitosną granicę śmierci.

Mogłabym przysiąc, że na mnie zerknął.

- Teraz powinno być inaczej! - krzyknął ktoś z grupy, jakiś mężczyzna w średnim wieku, którego prawie nie znałam. Kiedy mówił, w oczach płonęła mu zaciekłość podszyta lękiem. - Każdego, u kogo pojawią się objawy choroby, ale to każdego, trzeba odizolować. Wiemy, co się stanie, jeżeli tego nie zrobimy.

Kilka osób przytaknęło, parę pokręciło głowami. Ja stałam bez ruchu, wpatrując się w mężczyznę, rozważając jego słowa. Widziałam już swego czasu tak zwane jaskinie gorączki. Kiedyś o bladym świetle zakradłam się do tych

położonych na północ od wioski. Roztaczały upiorną aurę. To tam zaniecono część chorych i zostawiono ich na śmierć w samotności, z dala od rodzin, przemarzniętych i trawionych gorączką. Niektórzy skonali szybko od zarazy, inni pozamarzyli. Część rodzin, w tym moja, nie pozwoliła na zabranie swoich chorych. Mój ojciec nie opuścił matki aż do śmierci, po której jej ciało zostało spalone w jednej z jaskiń gorączki. Popioły już dawno zniknęły, ale zostało trochę kości, które, za sprawą siły woli bądź przypadku, nie chciały zniknąć ze Skane. To wszystko, co przetrwało: zwęglone odłamki kości, od których stroniły nawet zwierzęta.

Nikt nie miał prawa tam wchodzić, ale powiedzenie dziecku, żeby czegoś nie robiło, wzbudza w nim pragnienie tak przemożne, że nic go nie zaspokoi.

Pożałowałam tego.

Jak tylko ujrzałam kości, zwymiotowałam na śnieg. Mogły należeć do mojej matki.

Zebranych opanował tak ponury nastrój, że Ymir zwrócił się do mnie.

- Óso. Mogłabyś opowiedzieć nam coś o gwiazdach? - Uśmiechnął się blado i nie mogłam odmówić. Wszyscy byliśmy w to uwikłani, ale dzieci nie zasługiwały na niepokój.

Przez długą chwilę wpatrywałam się w ogień, porządkując swoje skłębione myśli. Było tyle historii, ale wszystkie wyleciały mi z głowy i ulotniły się na dźwięk polecenia

Ymira. Nachodziły mnie tylko nieokreślone wspomnienia, niewyraźne kształty.

Po głębokim hańście mroźnego powietrza myśli ułożyły mi się w głowie. To nie mogła być mroczna opowieść, nie po tym, co właśnie usłyszeliśmy. Czerwony blask niósł ze sobą cienie i niepokój, ale większość historii to też były tragedie albo koszmary – znalezienie pogodnej było praktycznie niemożliwe. Zastaniając ogień dłonią, wyciągnęłam szyję, żeby spojrzeć w niebo, i tam ujrzałam opowieść.

- Dawno temu – zaczęłam, nie odrywając wzroku od gwiazd – żyła sobie nieśmiertelna księżniczka, która przemierzała świat ze złamanym sercem, gdyż wszyscy jej ukochani poumierali. Skradła serca wielu mężczyzn, zafascynowanych jej niezmierną urodą, ale jeden po drugim odchodzili, zabierani z tego świata przez własną śmiertelność. Księżniczka żyła uwięziona w cyklu rozpacz. Pewnego dnia, szlochając po utracie ukochanego i nie mogąc tego dłużej znieść, ubłagała Boginię, żeby uwolniła ją od bólu, który miała przeżywać w nieskończoność. A Bogini okazała jej litość, zabrała ją z tej ziemi i umieściła jako konstelację na niebie, obok Wojownika, żeby nie była sama. I w końcu Nieśmiertelna znalazła miłość, której nikt jej nigdy nie odbierze, którą może się cieszyć po wsze czasy. Wojownik kochał ją nad życie, włożył jej na palec obrączkę światła, żeby zawsze pamiętała o jego miłości. I to jest najjaśniejszy punkt konstelacji, tam, na prawo. – Wskazałam jaskrawą,

połyskującą gwiazdę nad naszymi głowami, która dodała mi otuchy. Bez względu na to, co stanie się w Skane, bez względu na posępne wizje czekającej nas przyszłości, ta miłość będzie trwać, nawet po tym, jak gwiazdy posypią się z nieba, a otaczający nas wszechświat się wypali. Biły z tego piękno i nadzieja. W takie dni jak ten nadzieja była mile widziana.

Dzieci wpatrywały się wielkimi oczami w nieboskłon, a widok ten wzniecił we mnie iskierkę szczęścia. Udało mi się przegonić część chłodu. To była tylko opowieść, to były zaledwie słowa, ale przynosiły ukojenie.

Czas opowieści dobiegł końca, a moje kości znów przeszył chłód. Kilka dziewcząt zaproponowało, że odprowadzi dzieci do domów i łóżek, ale prawie cała reszta zebranych została. Znów wszystkie oczy zwróciły się na Ymira, choć nikt się nie odzywał. Mieliśmy mnóstwo pytań, ale daliśmy starcowi dojść do słowa.

Dorzuciłam do ognia gałązkę.

- Wiem, co wszyscy chcecie usłyszeć - powiedział Ymir cicho, ale ze zdecydowaniem i wnikliwością, które budziły szacunek. - Wszyscy chcecie usłyszeć, że tym razem mamy jakiś plan. Że wiemy, co można na to poradzić. Że wiemy, jak można wszystkich uratować. Mogę wam równie dobrze od razu powiedzieć, że tak nie jest. Tak samo jak i wy nie wiem, jak temu zapobiec. - Opuścił wzrok i zaczął się bawić rogiem koca. - Jedyne, co możemy, to wzmóc czujność.

Poprzednim razem zaraza nadeszła w ciągu paru dni. Każdy z nas może zachorować pierwszy.

Po jego słowach zawisła między nami taka beznadzieja, że oddychaliśmy z trudem. Rozluźniłam ubranie wokół szyi, ale to nic nie dało. Wzrok stojącego obok Ivara był utkwiony w ziemi, a jego usta mocno zaciśnięte. To dobrze. Cieszyłam się, że jest tak samo wściekły jak ja.

- Nie pozwólcie, żeby niewiedza osłabiła waszą wolę przetrwania - ciągnął Ymir. - Wielu z nas przeżyło już czerwony blask i, miejmy nadzieję, wielu z nas znów się to uda. Bądźcie ostrożni. Jeżeli poczujecie się źle, jeżeli coś wzbudzi wasz niepokój, zwróćcie się do kogoś. Zwróćcie się do mnie. Zwróćcie się do pierwszej napotkanej osoby. Nie trwajcie w ignorancji. Być może dzięki sprytowi i zapobiegliwości tym razem przeżyje większość.

„Choć wielu umrze”.

W myślach dokończyłam jego zdanie i zazgrzytałam zębami tak głośno, że Ivar spojrzął na mnie ukradkiem. Pokręciłam głową i odwrócił wzrok.

Czekanie i czujność nas nie uratują. Nadzieja niewsparta działaniem nie przedłuży życia nieszczęśników nawet o parę dni. Rozejrzałam się po grupie. Za parę tygodni niektóre z tych twarzy znikną. Część przyjaciół i krewnych umrze. Mogłam leżeć w łóżku i liczyć na ich ocalenie, aż zaraza pozabiera ich, jednego po drugim, albo mogłam podsycić miotający mną gniew tak, by dopomógł mi znaleźć ratunek.

R o z d z i a ł 3

Tej nocy, choć nie zostało jej wiele, trudno było o sen. Udało mi się zdrzemnąć parę razy o świcie i o szarym poranku, a gwizd wiatru za wykonanymi z ziemi i drewna ścianami mojego rodzinnego domu w równym stopniu usypiał mnie i wybudzał. Niekiedy był cichy, łagodny, koił mój niespokojny umysł, a niekiedy dął przenikliwie i ostro, niczym krzyk na naszym progu. Moje poszatutowane sny były mroczne, pełne kości, skóry i krwawoczerwonego nieba, które nawet za dnia zachowywało swą barwę. Kiedy obudziły mnie trzaskające płomienie i ciche głosy, wzrok miałam zamglony, a kark zdrętwiały.

- Idzie śnieg - powiedział ojciec ochrypłym głosem tłumionym przez kołdrę, w którą miałam wciśniętą głowę. Chropowaty tembr zawdzięczał życiu rybaka

na wzburzonym Szarym Morzu, gdzie wiatry były silne, a rozmawiać można było tylko, krzycząc. Ale jego głos i tak dodawał otuchy. Nie raz byliśmy pewni jego śmierci podczas szkwału, który pojawiał się znikąd. Każdy powrót ojca do domu był darem, jak mówiła Anneka.

- Dopilnujemy owiec - odparła moja siostra. Anneka niezmiennie budziła się przede mną, przed wszystkimi. Wstawanie przed świtem miała we krwi. - Ósa zawsze sprowadza je w porę. - Potem, pod nosem, mruknęła: - I to jedyne, do czego się nadaje. - Ze zmiany tonu wywnioskowałam, że odwróciła się do mnie w nadziei, że ją usłyszę.

Gdybym przyczyniła się do śmierci owiec, brak wełny doprowadziłby ją do szału. Robienie na drutach było jej jedyłą rozrywką, której poświęcała się od świtu do zmierzchu. I choć wizja Anneki odchodzącej od zmysłów była kusząca, owce były niezbędne tu, na Skane. Owce dawały wełnę, a wełna - ciepło. Ciepło zimą stanowiło o życiu i śmierci.

- Nie wychodzisz dzisiaj, prawda? - zapytała Anneka. Po chwili ciszy dodała: - Po czerwonych łós myślałam, że może...

- Życie nie zamiera na znak czerwieni, Anneko - uciął ojciec. - Musimy coś jeść.

Długa pauza. Anneka się nie odzywała.

- Brakuje nam jednego z załogi - oznajmił ojciec, zmieniając temat. Słyszałam, jak się krząta, szykując się do wyjścia. - Zeszłej nocy Klasowi urodziło się dziecko.

- Niech los ma w opiece to maleństwo. Co za noc, żeby się urodzić.

Z nagłej ciszy wywnioskowałam, że ojciec ostrzegł Annę spojrzaniem, żeby nie wspominała o czerwonym blasku.

- I tak nie możesz długo łowić - stwierdziła hardo Anka. Niewielu ludzi miało odwagę odezwać się tak do mojego ojca, ale jej uchodziło na sucho więcej niż pozostałym.
- Nie, jeżeli nadejdzie sztorm - dodała łagodniej.

- Anneko, jestem rybakiem. - Głos ojca był jak świeżo naostrzona klinga. - A ty nie. - Wstał i zdjął futro wiszące na kołku przy drzwiach, ale przed wyjściem się zatrzymał.

- Óso.

Zamrugałam z kąta na dźwięk swojego imienia.

- Ojczy?

- Ty pójdziesz.

- Ale, ojczy... - wtrąciła Anka.

Uciszył ją.

- Była już na łodzi. Nie ma choroby morskiej i może zastąpić Klasa. Będziemy mieli większą szansę coś złowić. Wrócimy, kiedy wody zaczną się burzyć.

Siedemnaście lat bycia córką mojego ojca nauczyło mnie nie kwestionować jego autorytetu. Jego decyzje, na przekór naszym rojeniom, nigdy nie wyprowadziły nas na manowce.

Kiedy wydostałam się z ciepła futer, dał mi się we znaki przenikliwy chłód powietrza poza moim kokonem. Niedługo będę się zmagać z morzem u boku ojca, na wietrze

i śniegu, a Anneka zostanie tu, w ciepłe, robiąc na drutach przy ogniu. Tak to już było.

Wzięłam podany przez siostrę kawałek chleba. Zesechłam się przy ogniu. Wiedziałam, że ma świeży chleb, wczorajszy, ale nawet jej o niego nie prosiłam. Odparłaby, że powinnam wcześniej wstawać albo sama go upiec.

- Nie kręć tak nosem - warknęła. - Od trawienia się rozgrzejesz. - Z jej tonu bez cienia wątpliwości wynikało, że nie zasługuję na poświęcane mi słowa. Zawsze tak było, od kiedy moje przybycie na ten podły świat odebrało jej matkę. Naszą matkę. Zupełnie jakby nie pamiętała, że ja też straciłam wtedy matkę. Jak gdyby fakt, że jej nie znałam, odbierał mi prawo do żałoby. Jakby i tak każdego dnia nie trawiła mnie wina, że ja żyję w najlepsze, podczas gdy moja matka jest martwa.

Kiedy źle mnie traktowała, umiałam się jej postawić. Czasami to robiłam, ale nie zawsze. W mojej głowie odzywał się cichy głos, odległy szept przyznający mojej siostrze prawo do gniewu.

Zagryzłam wargę, z umysłem ciągle zamglonym z braku snu, i przywdziałam buty i płaszcz. Ojciec czekał na mnie przy drzwiach. Usiłując zasłonić sobie loki ciepłą czapką, uprzedziłam Annekę:

- Może przyjść do mnie Ivar. Powiedz mu...

- Powiedz mu, że czas na zabawę jest po pracy - dokończył za mnie ojciec, a moja siostra uśmiechnęła się drwiąco.

Niech ma ostatnie słowo. Nie odzywaliśmy się już do siebie, a ja skończyłam się ubierać i wyszliśmy z domu.

Przeszywający wiatr szczypał mnie w twarz i oczy, a chmury wisały tak nisko, że wydawały się w zasięgu ręki, gdybym nie ścisnęła ją tak mocno ubrania. Kiedy byliśmy młodszy, Ivar powiedział, że podobno łagodna fasada chmur jest zwodnicza, że w istocie składają się z małych odłamków lodu, więc gdybyśmy spróbowali je uchwycić, to pocięlibyśmy sobie palce. Może to była prawda, może nie. W tamtych czasach Ivar lubił bajdurzyć. Ale chłód wiatru i śniegu był tak przenikliwy, że byłam skłonna w to uwierzyć.

O tej porze nazajutrz nasza mała, pełna lepianek wioska zasypana metrami śniegu zamieni się w serię białych pagórków. Wszyscy będziemy w domach, w ciepłe, pod stertami futer i narzut. Będziemy opowiadać sobie na zmianę historie, a potem zaśniemy, uśpieni gwizdem wiatru tuż za ścianą. Gdyby niebo nie było krwawoczerwone, mogłoby ostrzec nas przed taką burzą.

Zamrugałam na wietrze, doskonale zdając sobie sprawę, że na morzu będzie dużo gorzej. Głupotą było wyjście z domu w takich warunkach, wolałam być jednak odważnym głupcem niż tchórzem. Chciałam pokazać ojcu, że moja rola w Skane nie ogranicza się do wpatrywania się w gwiazdy i włóczenia się po jaskiniach z Ivarem. Chciałam dowieść siostrze, że mam takie samo prawo do istnienia na tym świecie jak ona.

To nie był pierwszy raz, kiedy ojciec postanowił ruszyć w morze, nie zważając na nadchodzący sztorm – do tej pory zawsze wracał. Pomimo moich usilnych starań nie dodawało mi to jednak otuchy.

– Pamiętaj – powiedział ojciec, kiedy zbliżaliśmy się do portu – wykonuj moje polecenia. Na łodzi moje słowa są święte. Wrócimy wtedy, kiedy ja powiem, że wracamy, nie wcześniej.

– Ale obiecałeś...

Uciszył mnie spojrzeniem, które zmroziłoby fale. Nic już nie powiedziałam.

Chmury były tak przytłaczające, że port zobaczyłam dopiero, kiedy do niego doszliśmy. Fale roztrzaskiwały się pod nami z taką mocą, że piana ochlapwała mi buty i na nich zamarzała. Często przytupywałam, żeby ją rozbić, w przeciwnym razie chłód od zbierającego się lodu przeniknąłby przez obuwie i straciłabym czucie w stopach. To byłby groźny krok ku ich utracie. Już to kiedyś widziałam. Widziałam kikuty rąk i nóg tam, gdzie powinny być dłonie i stopy. Mróz był bezlitosnym wrogiem. Trzeba go było albo szanować, albo mu się poddać.

– Albrekcie.

Popatrzyłam na mężczyznę, do którego zwrócił się ojciec. Stał na rozbujanym na falach łodzi, mocując skrzynie, które, przy odrobinie szczęścia, miały się wkrótce napełnić rybami. Pomimo fal trzymał się pewnie na nogach, na co zapracował sobie życiem spędzonym na morzu.

- Eldórze. Słyszałeś o Klasie? - Albrekt wrócił do pracy, posyłając nam pobieżne spojrzenie. Jego dłonie poruszały się szybko mimo chłodu, choć trudno było stwierdzić, czy zawsze jest taki sprawny, czy za pośpiechem kryje się nadciągająca burza.

- Słyszałem - odparł ojciec, pokazując mi, żebym weszła za nim na pokład. Nie przytrzymał mnie dłonią, ale nie było mi to potrzebne. Wchodziłam na pokład na wzburzonym morzu tyle razy, że poradziłam sobie i nie wpadłam do lodowatej głębi. Złapałam się mocno prymitywnego masztu i przyjrzałam przyczepionemu doń prawie podartemu żaglowi. Mój ojciec notorycznie odkładał niezbędne naprawy, co z każdym mijającym dniem było coraz bardziej widoczne. Obawiałam się, że nadejdzie chwila, kiedy jego pewność siebie się na nim zemści, z katastrofalnymi skutkami.

- Nie trać już czasu - polecił Albrektowi, a we mnie zatlił się płomyk nadziei. To były pierwsze słowa ojca, z których można było wyczytać, że wie o nadciągającym sztormie. Do tej pory zachowywał się tak, jakby był nieświadomy zagrożenia.

Albrekt wciągnął liny i nas odcumował. Trzymałam się mocno burty, a fale bujały nami jak dziecięciem w kołysce. Moja prawa stopa poślizgnęła się na oblodzonym pokładzie i na chwilę straciłam równowagę, choć trzymałam się ze wszystkich sił. Nie szukałam wzrokiem ojca. Wyobrażałam sobie karcące spojrzenie, które we mnie wbił.

Niebo się rozgniewało. Napierało na nas, namawiając do powrotu, my jednak płynęliśmy naprzód. Przyroda wszelkimi możliwymi sposobami dawała nam znak, ostrzeżenie, które my puściliśmy mimo uszu. Zmusiłam się do oderwania wzroku od nieba i wpadłam w swoisty rytm, pomagając na rufie ojcu i Albrektowi zarzucać sieci. Przy odrobinie szczęścia niedługo wciągniemy je z powrotem pełne ryb. Część z nich zachowamy dla miejscowych rodzin, a część sprzedamy albo wymienimy z mieszkańcami okolicznych wsi, którzy ususzą je na zimę. Niekiedy solone i suszone ryby były naszym jedynym pożywieniem. Gdybym nie była tak wdzięczna za to, że mamy dość jedzenia, by przeżyć – co Anneka nieustannie mi przypominała – mogłabym narzekać na brak różnorodności.

Pierwsza sieć nie była jeszcze nawet do połowy tak pełna, jak byśmy sobie tego życzyli. Umieściliśmy przynętę w przywiązanych do burty drewnianych skrzyniach, po czym znów zarzuciliśmy sieć. Wiedziałam, że udany połów miał zdaniem ojca zrekompensować ryzyko wypłynięcia przed sztormem, ale zapowiadało się, że wrócimy z pustymi rękami. Zastanawiałam się, czy ryby nie uciekły wystraszone. W tak wzburzonych wodach nawet one muszą szukać schronienia.

Wiatr przybierał na sile, a ojciec częściej zmagał się z żaglem, niż pomagał Albrektowi i mnie rozładowywać sieci. Łódź huśtała się i przechylała i czasami musieliśmy oderwać

się od połowu, żeby się czegoś złapać, kiedy przebijała się przez kolejną falę. Wciągaliśmy sieci, opierając się morzu, a skrzynie powoli zaczęły się napępniać.

Jakaś oburzona traktowaniem ryba wyskoczyła ze skrzyni na pokład. Przykucnęłam, żeby ją podnieść i wrzucić z powrotem, ale kiedy z nią wstałam, coś na falach przykuło moją uwagę. Zamarłam na chwilę, zapominając o rybie w dłoni i kołysaniu łodzi. Wy tężyłam wzrok, usiłując dojrzeć białe fale w napierającej mgle. Byłam pewna, że coś zobaczyłam – może cień. Jakieś szczątki na morzu. Ale cokolwiek to było, zniknęło, pochłonięte przez kotłujące się wody.

Tam.

Znów.

– Ojcie.

Pokazałam na wodę tak precyzyjnie, jak umiałam, pomimo ruchu łodzi. Żagiel? Jeżeli tak, to ciemny, nieznamy. Wszystkie wioskowe łodzie były w porcie. W te strony nie przybywali podróżnicy, a żaden inny mieszkaniec nie był na tyle lekkomyślny, żeby wypływać podczas takiej burzy.

– Nic nie widzę – powiedział ojciec.

– Ja też nie – dodał Albrekt.

Obaj wrócili do pracy.

Cokolwiek to było, znów zniknęło i tym razem już się nie pojawiło. Opuściłam dłoń. Teraz nawet warstwy futer i wełny mnie nie rozgrzewały. Teraz chłód promieniował ze mnie.

Wymowa imion i nazw własnych:

Ósa - OU-sa

Ivar - ai-VAR

Eldór - EL-dour

Anneka - OU-ne-ka

Móri - MOR-i

Ør - Or

Löska - LOU-ska

Lós - Lou

Iðavik - AIS-a-vik

Jõt - JOT

Sjørskall - SJORS-kall

Sejer - sai-JER

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl

Na skutej lodem wyspie Skane niebo przemawia do jej mieszkańców.

W nocy, gdy niebo jest czyste, pojawia się na nim piękna zorza. Jej kolor ma znaczenie. Zielony mówi, że na wyspie panuje harmonia i Bogini jest szczęśliwa. Niebieski oznacza, że zbliża się zamieć. Jest jeszcze czerwony.

Czerwony pojawia się rzadko.

Czerwony to ostrzeżenie.

Siedemnaście lat temu, gdy narodziła się

Ósa, niebo rozbłysło czerwienią, a na wyspie rozszalała się plaga, która odebrała życie setkom jej mieszkańców, włączając w to matkę dziewczyny.

Tym razem, gdy niebo znów mieni się czerwienią, Ósa musi odnaleźć sposób, by zatrzymać rzeź i uchronić przyjaciół przed niechybną śmiercią.

Przyspieszająca bicie serca, klimatyczna powieść fantasy, która zmrozi cię do szpiku kości.



*Zaskakujący debiut Lisy Lueddecke przenosi czytelnika
do chłodnego świata pełnego nadprzyrodzonych mocy i tajemnic.
Chciałbym zobaczyć równie magiczny i klimatyczny film!*

– Piotr Olczyk, redakcja Multikino.pl

Czerwienia
zaczyna się
mienić niebo,
Nadciąga niepokój,
idzie
mnóstwo złego



Zajrzyj na:
zielonasowa.pl

ISBN 978-83-8073-671-9



9 788380 736719 >

Patroni: **Multikino**

Fantastyka



NIESTATYSTYCZNY

KAWERNA

lubimy czytać.pl